



Ewa  
Bartkowska  
*Ja, judaszka*

Ewa Bartkowska

# **Ja, judaszka**



Copyright © Ewa Bartkowska, 2014  
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2014

Wydanie I  
Pruszków 2014

Seria **JaneczKa**

ISBN 978-83-62247-35-6

*Wszystkim odważnym i niepokornym*



Cóż począć z czasem i oddechem, i z przekleństwem wspomnień, gdy najważniejsze – sens wszechrzeczy – zostało odebrane? Teraz i tutaj wpasowuje się nas w jedno tylko istnienie, czy więc przeżycie więcej i znów jest w ogóle możliwe?

Jest wiele rzeczy, które będę pamiętać do końca; kurz czasu nie zdoła ich pokryć, nigdy – są wyryte w sercu, jak znaki w kamieniu, są niczym wieczne blizny; są we mnie na zawsze. Reszta wspomnień to szpargały w szufladzie pamięci, mogę je wkładać i wyjmować do woli, mogę skazać na zapomnienie.

\*

Powietrze falowało gorącem, miałam czternaście lat, osiem miesięcy i czternaście dni, przed sobą, na skarpie, jasny budynek; otworzyłam drzwi i nawet tego nie przeczując, stanęłam na progu najpiękniejszego, a zarazem najboleśniejszego ze wszystkich moich doświadczeń: w szkolnym holu, na czarno-białej szachownicy posadzki postawiłam pierwszy krok – przeznaczenie, gotowe, już czekało; wtedy, tego dnia, po raz pierwszy ujrzałam jego.

Na imię miał Wiktor.

Na apelu rozpoczynającym rok szkolny nie było go, spóźnił się. Wszedł do budynku w momencie, kiedy uczniowie już opuszczali salę gimnastyczną, tłocząc się na korytarzach i rozlewając po zakamarkach liceum w poszukiwaniu swoich klas.

Szedł szybkim krokiem w stronę pokoju nauczycielskiego, w jednej ręce niósł brązową skórzaną teczkę, drugą przytrzymał kilka

książek przy boku. Ktoś go potrącił niechcący, książki rozsypały się po kwadratach posadzki. Stałam bardzo blisko, jedna upadła niemal u moich stóp. Podniosłam ją i zrobiłam dwa kroki w jego stronę. Reszta niesfornej sterty już wróciła na miejsce, a on skierował się tam, dokąd zmierzał, gdy zawołałam: – Panie profesorze! – i zrobiłam ku niemu jeszcze jeden krok. Odwrócił się i spojrzał w stronę głosu; rozpoznał swoją książkę w mojej wyciągniętej dłoni, a potem podniósł wzrok i zobaczyłam jego oczy. Szare i duże, łagodne i spokojne, oczy przejrzyste jak szary kryształ, i trwało to może sekundę, może dwie, i nie mogłam się poruszyć, skamieniała, oszłamiona świetlistością, która zdawała się wychodzić na zewnątrz, dotykając mnie spojrzeniem, które odbierałam jako dziwnie, nienaturalnie znajome. Jak powrót, jak raptowne zetknięcie z miejscem lub osobą, za którą się nieprawdopodobnie, ale tylko podświadomie tęskniło i z którą spotkanie wywołuje gwałtowny wybuch euforii tak silnej, że rozbija na drobne cząsteczki i unosi pod niebo. Uczucie nagłego oderwania od ziemi, jakbym wyrwała się z własnego ciała. Jednocześnie czułam się uwięziona, trzymana tym wzrokiem, nie mogłam się od tych oczu oderwać, on powiedział „dziękuję”, a ja wreszcie się ocknęłam, położyłam książkę na jego stercie, odwróciłam się i już na niego nie patrząc, poszłam do łazienki.

Nigdy wcześniej się nie zdarzyło, by ktoś uwięził mnie w ten sposób. Nigdy. Oczy nieznanomych oglądałam zawsze jako pierwsze, zwracałam na nie szczególną uwagę od początku, by być przygotowaną, by ocenić. Spojrzenia mówiły wiele z tego, co chciałam wiedzieć. Ale nikt nie miał takich oczu. I nie chodziło o kolor, o barwę – to bez znaczenia. Tylko o to światło, wewnętrzną iskrę, która przykuła mnie i trzymała niczym sznur. Jego spojrzenie miało miękkość, bezbronność i nutę smutku, zniewalającą dobroć, która sprawiała, że wokół serca rozlewało się ciepło i raptownie brakowało tchu.

Pierwszy dzień zajęć w nowej szkole dobiegł końca, wciąż było bardzo gorąco; wracając do domu, czułam ogromną ulgę i radość.

Mieszkałam we wsi rozciągniętej na dnie kotliny; otaczały ją góry porośnięte starymi lasami. Nasz dom stał przy końcu drogi,

w objęciu rzeki, wśród trawiastych pagórków. Pachniał wykrochmaloną pościelą, pastą do podłóg i bezpieczeństwem. Tutaj, dwanaście kilometrów od bezustannego ruchu i zgiełku miasta, wszechobecny spokój sprawiał, że wszelkie rzeczy zdawały się znajdować na przeznaczonych im miejscach. Panująca tu cisza była dźwiękiem, który kochałam najbardziej – w niej rodził się porządek.

Po obiedzie poszłam na Owczą Górkę, usiadłam w rozkołysanej trawie pod starą brzozą o opadających ku ziemi ramionach. Często tu pisałam; widok dalekich przestrzeni sprawiał, że wzrok i myśli stawały się wolne.

Dotąd byłam ładem, moje wnętrze nim było – wszystko ułożone po kolei, jedno na drugim, niczym prastare warstwy gleby; żądnych trzęsień ziemi, nawet najdrobniejszych; taką mnie stworzono. Na to, by naruszyć ten porządek, dotychczasowa rzeczywistość nie znalazła sposobu. Miałam poczucie absolutnego nad nią panowania. Toczyła się przewidywalną koleiną dni i nocy, pór roku, przystrojonych choinek i malowanych jajek, czyichś narodzin i czyichś śmierci, radości i dramatów, i nic z tego nie miało mocy, by mnie dotknąć. Byłam spokojem, pogodzeniem, bez cienia gorczy czy zdziwienia; byłam wewnątrznie stara, obojętnie cierpliwa i odrobinę znudzona. Do dzisiaj.

Przez kilka kolejnych tygodni zadawałam sobie wciąż jedno pytanie: czy się nie mylę.

W czasie lekcji unikałam jego wzroku, chociaż ciągnęło mnie, żeby w te oczy patrzeć. Odczuwałam niewytłumaczalny przymus, z którym walczyłam każdego dnia; pamiętałam dreszcz rozpoznania, który przeszedł mnie w chwili, gdy nasze spojrzenia skrzyżowały się po raz pierwszy – spotkałam kogoś takiego jak ja sama.

Profesor uczył matematyki i propedeutyki. Został naszym wychowawcą.

Bardzo przystojny, witalny, o zmysłowości, jakiej warstwa zewnętrzznego chłodu nie była w stanie ukryć; staroświecko kulturalny; miał ciemne, lekko za długie włosy, szarobłękitne oczy z ledwie zauważalną siatką kurzych łapek, kiedy się uśmiechał. Wysoki,



wysportowany i nieodparcie pociągający. Nosił dzinsy, błękitne koszule i sportowe marynarki ze skórzanymi łatami na łokciach – Pan Profesor. Wyglądał na trzydzieści pięć lat, w rzeczywistości miał o dziesięć więcej.

My byliśmy dziećmi po wiejskich szkołach, z ogromnymi brakami wiedzy. Pierwsza lekcja matematyki, którą naprawdę kochał, to był pogrom.

Profesor kreślił na tablicy równania i tłumaczył, początkowo cierpliwy i spokojny, ale nie rozumieliśmy nic; siedzieliśmy skrzepowani, obcy, jeszcze oddzielni, bezradni; powietrze gęstniało, czułam, jak rośnie jego zniecierpliwienie; drewniany wskaźnik świsnął, przecinając powietrze, ostry szpic ugodził płaszczyznę tablicy, wskazując samotny  $x$ .

– Jaka liczba stoi przed  $x$ ? – zapytał podniesionym głosem.

Wszyscy zamarli; nikt nie znał odpowiedzi, nikt się nie poruszył, nikt nie oddychał. Nie znaliśmy tego mężczyzny, siły jego gniewu, ale czułam, że to nie furia, gniew ślepy, raczej odmiana złości, jaka bierze się z rozpacz. Bo tak mało umiemy. Jego twarz była spięta, jednak napięcie nie sięgało oczu – spojrzenie pozostało miękkie.

Nie potrafiłam tego wytłumaczyć nawet samej sobie, ale czułam, że jest wyjątkowy. W jakiś trudny do określenia sposób. Zdecydowanie inteligentny tym szczególnym rodzajem inteligencji, której nie można zdobyć ani rozwinąć, bo jest jak talent, iskra, z którą trzeba się urodzić. I że pod warstwą zniecierpliwienia, złości, chłodu próbuje ukryć swoje rozczarowanie. I wrażliwość. Nie budził we mnie lęku.

Kolejno brał uczniów do odpowiedzi, jednego po drugim, nikt nie trafił – źle, źle, źle, podnosił się głos coraz wyżej. Pod wpływem nagłego impulsu wstałam.

– Jeden. Liczba jeden – powiedziałam nieswoim głosem.

Nie mam pojęcia, skąd wiedziałam. Umysł nie miał z tym nic wspólnego, to była czysta intuicja. Ale nie miało to znaczenia, bo zobaczyłam, jak on się odpręży, jak momentalnie łagodnieje, jak ta twarz, skierowana ku mnie, rozpogadza się, nagle zadowolona – jakby dostał prezent. I miałam ochotę roześmiać się, bo wtedy,

tam, ujrzałam w nim mojego małego brata, jak z rączki wypada mu czerwony lizak, prosto w piach drogi, jak wyjmuję z ust identycznego lizaka, podaję bratu, mówiąc: Już dobrze, masz, i podnoszą się na mnie dziecięce oczy, jeszcze wilgotne, ale już jest w nich radość, lizak znika w małych ustach, uniesionych w uśmiechu...

Myślę, że dla niego ani wtedy, w holu, ani na tej lekcji nic się jeszcze nie wydarzyło.

Wkrótce zauważyłam, że moje myśli nieustannie uciekają w jego kierunku. Świadczyły też o tym moje nowe teksty.

Jego obecność wyczuwałam momentalnie, gdy tylko zjawiał się w pobliżu – wzbudzała natychmiastową aktywność emocji: uniesienie pomieszane z niepokojem, napięcie; powietrze wokół nagle gęstniało, naelektryzowane; nitka lekkiego prądu wzdłuż kręgosłupa; raptowne zaburzenie rytmu oddechu. Nawet nie podnosiłam głowy, by na niego spojrzeć, nie musiałam; kiedy był blisko, wiedziałam, zawsze. Mój dawny spokój wracał dopiero w chwili, gdy on znikał, wychodził z klasy, opuszczał przestrzeń wokół mnie.

Interesował mnie ogromnie, wręcz obsesyjnie, jak żaden inny człowiek dotychczas; jakby wytwarzał jakieś magnetyczne pole, które mnie przyciąga, które tylko ja wyczuwam. Ale dla niego wciąż jeszcze byłam tylko częścią bezkształtnej, bezimiennej granatowej masy, która wypełniała sale i płynęła korytarzami w czasie przerw.

Podczas lekcji, które prowadził, starałam się nie rzucać w oczy. Matematyka, podobnie jak fizyka i chemia, nigdy mnie nie pociągała. Robiłam minimum, tyle, by pozostawiono mnie w spokoju, po czym zajmowałam się swoimi sprawami.

Szybko zrozumiał, że nie jestem umysłem ścisłym, mimo to miał dla mnie jakąś delikatność, miękkość ledwie wyczuwalną. Między lekcjami kilka razy, czując na sobie ciężar wzroku, nagle podnosząc głowę znad czytanej książki, schwyciłam jego umykające spojrzenie. Nitki już zaczęły się splatać i nic ponadto nie miało dla mnie znaczenia.

\*

Kupienie tutaj butelki dobrego wina graniczy z cudem. Jak na razie, co powtarzam sobie od trzech tygodni, to jedyna wada tego miejsca.

Jasne, że w porównaniu z Warszawą Jelenia Góra to grajdoł, prowincja, przysłowiowa dziura, gdzie psy szczekają dupami. I tego było mi trzeba.

Pewex jednak mają, tak samo korty w klubie tenisa, małym i trochę obskurnym, za to z przyjemnie niską składką.

Mieszkanie okazało się też nie takie złe, jak ostrzegał Mateusz, nawet jeśli kwieciste tapety jego zmarłej ciotki to nie mój gust. Zresztą mogą zrobić remont.

Niektórzy myślą, że najdroższego kozła złożyłem na ołtarzu zawodowym – okazało się, że oprócz małej Akademii Ekonomicznej, która nie dysponowała wolnymi etatami, miasto nie ma wyższych uczelni, na których mógłbym wykładać. Cóż, będąc uczył w szkole średniej, żaden problem. By uwolnić się od duchów przeszłości, jestem gotowy na większe ofiary niż praca w liceum, gdzie dyrektor, zobaczywszy moje papiery, zapiał z zachwytu, jakby Pana Boga za nogi złapał. Przynajmniej będę się tu czuł doceniony. W sumie bilans wyszedł na plus.

Gdybym już znał kogoś w tym mieście, kto chciałby mnie słuchać, to powiedziałbym, że mój pierwszy dzień w nowej pracy przeszedł gładko. Rano wcale się nie spieszyłem, bo wzruszającą uroczystość rozpoczęcia roku szkolnego postanowiłem sobie opuścić. Jak przewidywałem, nikt tego nawet nie skomentował.

Dziś w mojej karierze pojawił się nowy element: zostałem wychowawcą jednej z klas pierwszych, a dodatkowo, żeby uszczęśliwić mnie całkowicie, dyrektor poprosił, abym prowadził zajęcia z propedeutyki, bo „co zrobić, panie kolego, braki kadrowe”. Nowe obowiązki próbował osłodzić faktem, że dzięki temu będę otrzymywał wyższe wynagrodzenie. Ta radosna nowina przypomniła mi, że wkrótce powinienem chyba pomyśleć o udzielaniu korepetycji i prywatnych lekcji tenisa, bo za cholerę nie wiem, jakim cudem nauczyciel pracujący w szkole średniej miałby wyżyć ze swojej pensji.

Wróciwszy do domu, stwierdziłem, że odpowiednim zakończeniem dnia będzie wieczorna przebieżka po parku i lampka bordeaux. Dokładnie w tej kolejności. Szerszego spektrum rozrywek jeszcze nie zdążyłem sobie zorganizować.

Dzwonił Mateusz. Na jego podszytą zgryźliwością troskę zawsze mogę liczyć. Powiedziałem mu, że jestem szczęśliwy niczym prosiak w błocie.

Pewne rzeczy pozostają stałe bez względu na wielkość miasta. Na przykład klientela klubów tenisowych. To prawie zawsze ludzie zmanierowani i z forszą. Wiem, że pierwsze wynika z drugiego, chociaż nie rozumiem, dlaczego schemat powtarza się aż tak często.

Facet, z którym dzisiaj grałem, jest cinkciarzem. I ma knajpę. Sądząc po nowym bmw, w interesach radzi sobie całkiem nieźle. Okazało się, że na korcie również. Umówiliśmy się na kolejny mecz w niedzielę rano.

Kilka osób zahaczyło mnie o lekcje – widać wieści rozchodzą się błyskawicznie.

Wieczorem zjadłem na mieście. Wybór lokali nie powala na kolana, no ale coś za coś. Później poszedłem do kina. Tutaj wszystko jest w wersji mini: miasto, ulice, rynek i możliwości wyboru. Kino też. Film był niezły, szkoda tylko, że z niedostatku frekwencji wpuścili gówniarzy.

W domu byłem już przed jedenastą. Wracałem pustymi ulicami, miasto zupełnie wymarło. Przecież jest sobota! Co ci wszyscy ludzie robią wieczorami? Bo ja nawet nie mam z kim w szachy zagrać, o seksie nie wspominając. Do wyboru pozostaje Kino nocne albo sprawdzanie klasówek. Aaa, mogę się jeszcze upić.

Jednak dochodzę do wniosku, że moje życie z odzysku może być całkiem znośne. W wersji mini, na miarę miejsca. Przyjemnie spokojne. I lepiej, żeby tak było, bo na kolejne błędy zaczyna mi brakować czasu.

Jest też łyżka dziegciu, a jakże. Praca, jak dotychczas, diabelnie mnie frustruje. Te dzieciaki z pierwszych klas nie umieją elementarnych rzeczy! W głowie się nie mieści, jak można było wypuścić ich z podstawówki z takimi brakami. Kilka ładnych miesięcy będę

się z nimi użerał, zanim to nadrobimy. Niedawno z całej dwudziestki na zadane pytanie potrafiła odpowiedzieć tylko jedna uczennica. Myślałem, że szlag mnie trafi na miejscu. Trochę mnie poniosło, niepotrzebnie ich zestresowałem. Chociaż ona nie wyglądała na wystraszoną. Chyba nawet lekko się uśmiechnęła.

Powoli i z trudem, ale wyławiam po kolei tych, którzy zdają się mieć jakieś pojęcie. Na razie znalazłem troje. Reszta... Szkoda słów. Praca u podstaw, oto, czym się teraz zajmuję.

Ten mój kumpel cinkciarz, Marek, to prosty chłop, ale w porządku. Poszedł Marek na jarmarek, zawsze myślę na jego widok. Imię adekwatne do zawodu. W sobotę po meczu wpadliśmy na kilka głębszych do Zielonego Koguta. To jego knajpa. Fajna. Dekadencjonalne towarzystwo, tyle że nadziane. Nic dziwnego, ceny drinków jak w Forum. Przedstawił mnie kilku osobom. Po sali kręciło się też parę niezłych babek. Niestety, z sortu tych, co zawsze krążą wokół forsy – młode, ładne i głupie. Syreny, jak nazywa je Mateusz.

Marek, dobry gospodarz, chciał zadbać o nowego kolegę, więc wypiliśmy parę kolejek przy barze. Barmanka cały wieczór robiła do mnie słodkie oczy.

Przysiadła się jedna panienka, Agata. Cholernie ładna, pierwszorzędnego cycki. Nóg nie widziałem, bo była w spodniach, ale nieważne, i tak przepadło, jak tylko otworzyła usta i zaczęła mówić. Szkoda. Może to prawda, że były dwie kolejki: jedna po urodę, druga po rozum. Jeśli tak, to ta druga chyba diablo krótka. Nie sądzę, żeby któraś z bywalczyń Zielonego Koguta w niej stała.

Miałem kilka związków z takimi lalkami. Jeden nawet już po rozwodzie. Przyrzekłem sobie, że nigdy więcej. Patrząc na piersi Agaty, pomyślałem: Bardzo chwalebne, szlachetny rycerzu. A teraz wytłumacz to temu gościowi, który mieszka w twoich spodniach.

Uratował mnie kolejny walker. Wyszedłem zaraz po północy, sam.

Upłynął prawie miesiąc, odkąd uczę moje orły. Całą lekcję poświęciłem na klasówkę z dotychczas przerobionego materiału.

Przykrych obowiązków nie ma co odkładać, bo procentują jedynie wyrzutami sumienia, więc wieczorem zabrałem się do sprawdzania. Przede mną leżały na kupce dwadzieścia dwa bruliony do matematyki, wszystkie na zewnątrz niepodpisane, tak jak prosiłem. W każdym powinno być po pięć rozwiązanych zadań. No to zobaczymy, jaki z pana nauczyciel, Panie Psorze.

Po dwóch godzinach stwierdziłem, że poszło im całkiem nieźle. Średnia wahała się koło czterech w pięciostopniowej skali. Zostało mi jeszcze dziewięć zeszytów. Zaparzyłem herbatę i sięgnąłem po kolejny ze szczytu sterty.

Miał ładną okładkę, zrobioną z rozkładówki jakiegoś porządnego czasopisma – papier był kredowy, błyszczący i gruby. Na nim kolorowe zdjęcie rozległej syberyjskiej tundry, sfotografowanej latem. Robiło wrażenie.

Rozwiązane były dwa zadania, reszta nieruszona. Postawiłem 3 i zaparafowałem. Zamknąłem zeszyt i już miałem odłożyć, ale zawahałem się. To zdjęcie było naprawdę świetne. Zawsze przywiązywałem wagę do szczegółów, drobiazgi wiele mówią o ludziach. Pomyślałem, że nie ma sprawy, klasówkę sprawdziłem wcześniej, mogę zajrzeć, do kogo należy zeszyt. Otworzyłem go na pierwszej stronie. Napisano tam tylko: *Alicja*. Litery drobne i pochylone w prawo, pismo zdecydowane. Wpatrywałem się w nie chwilę. Zacząłem przekładać kartki. Po kolei, jedna za drugą, powoli, bardzo powoli.

Robiła notatki z lekcji, ale niezbyt skrupulatnie, raczej pobieżnie. Na marginesie trzeciej strony zauważyłem jakiś tekst maczkiem. Pochyliłem się nad nim i przeczytałem:

*Ceną zaś rzeczy jest ilość tego, co nazwałbym życiem, które należy za nie wymienić – natychmiast albo w ostatecznym rozrachunku.*

Dłuższy moment gapilem się na te słowa. Coś mi przypominały. Skądś znałem ten cytat. Znalazłem – Henry David Thoreau. Tak, na pewno. To cytat z „Walden, czyli życie w lesie”. Zamurowało mnie. Ona zna Thoreau?! Moja uczennica, piętnastoletni dzieciak z jakiejś zapyziałej wioski i dziewiętnastowieczny Klub Transcendentalistów?! Dobro, Prawda i Piękno ponad wszystko? Wyższość

ducha nad materią? Intuicja i zaufanie do samego siebie jedyną busołą wskazującą człowiekowi jego własną drogę? Nie, to chyba jakiś żart!

Przełożyłem następną kartkę. Nic. Następną: notatki, mały rysunek liścia. Kolejną. Nic. Do końca zapisanych stron już niczego nie znalazłem. Przewertowałem również te czyste. Nic. Poczuję zawód. Irracjonalny. I właśnie wtedy, gdy odwróciłem ostatnią stronę, zobaczyłem to.

Pod paskiem tylnej okładki tkwiła kartka. Biała, bez wzoru kratki. Miała ślad pobrudzonego tuszem palca. Pomyślałem, że nie powinienem tego robić. Ale nie mogłem się oprzeć – wyjąłem ją i odwróciłem.

*Jestem...  
tutaj, u kresu spojrzenia stoję,  
ujrzyj mnie,  
zobacz mnie  
przez warstwę złudzenia  
młodych sukienek.  
Czekam...  
tutaj, w kąciку milczących ust ukryta,  
wołając cię...  
usłysz mój krzyk,  
usłysz moje wołanie,  
głosem cichym jak myśl wyszeptane,  
i wybaw mnie, proszę,  
od zagubienia...*

Nie wiem, jak długo patrzyłem na te słowa.

Alicja. Nie mogłem jej skojarzyć.

Nie potrafiłem połączyć twarzy właścicielki z jej brulionem. Uświadomiłem sobie, że nie mam pojęcia nawet o tym, w której części klasy siedzi ta dziewczyna. Alicja – biała plama. Przez cztery tygodnie nie zapamiętałem twarzy garstki dzieciaków. Dlaczego? Bo jestem lekceważącym arogantem?

Zakorkowałem resztę wina i przebrałem się. Na zewnątrz była już noc. Godzinę biegałem po parku, „i wybaw mnie, proszę, od zagubienia...” miałem w głowie.

Wiersz wciąż leżał na stole.

Do końca weekendu powtórzyłem go w myślach chyba tysiąc razy. Szarpał mnie. Wewnętrznie. Lubię wiersze. Sztuką jest zawrzeć w małych formach dużo treści.

Nadejście poniedziałku przyjąłem z ulgą. Byłem ciekawy. Choć nie potrafiłbym zdefiniować swoich oczekiwań. Nie wiedziałem, czego tak naprawdę się spodziewam. Ale natychmiast chciałem naprawić własne zaniedbanie. Bo prawda jest taka, że dałem dupy.

Sprawdzanie obecności trwało dziś dłużej niż zwykle. Musiałem zapamiętać twarze. Z niejaką satysfakcją stwierdziłem, że większość jednak kojarzę.

Gdy wyczytałem imię Alicja, wstała dziewczyna w trzeciej ławce, po prawej stronie klasy, pod oknem. Nikt koło niej nie siedział.

Patrzyłem na nią chwilę. Kompletnie zaskoczony. Miała niewiele ponad metr sześćdziesiąt, bladą karnację, włosy sięgające ramion, proste, w kolorze ciemnego blond; oczy chyba piwne, ale nie jestem pewien, bo niemal natychmiast spuściła wzrok. Nie wyglądała nawet na piętnaście lat, miała sylwetkę i twarz dziecka. Niepozorna. Mógłbym przysiąc, że dzisiaj widzę ją po raz pierwszy w życiu.

Podczas dwóch lekcji, które miałem z moją klasą w planie tego dnia, zerknąłem na nią kilka razy. Była cicha. Nie odzywała się, nie szeptała z rówieśnikami jak inni. Notowała z tablicy, to znów patrzyła w okno. Nie rozglądała się po klasie. Pomyślałem, że jest nieśmiała. Po dzwonku nieśpiesznie spakowała zeszyt i podręcznik do skórzanej torby i nie patrząc na nikogo, po prostu wyszła.

Podczas przerw często widuję ją na korytarzu. Siedzi na jednym z szerokich parapetów okiennych albo u szczytu schodów prowadzących do pracowni fizycznej – na obrzeżach wszelkiego zamieszania i ruchu. Nie otacza jej krąg koleżanek. Nigdy. Zawsze jest



sama i zawsze czyta. Nikt jej nie zaczepia, nikt nie próbuje z nią rozmawiać. Nikt jej nie zauważa. To samo w klasie. Ta dziewczyna zdaje się być przezroczysta. Sama również na nikogo nie zwraca uwagi.

Patrząc na nią, mam wrażenie, że wciąż jest maksymalnie skupiona. W sobie. Jakby wokoło nie istniało nic, co byłoby w stanie ją rozproszyć. Biję od niej ogromny spokój. Nie dlatego, że jest milcząca. Nigdy nie widziałem, by biegła czy śpieszyła się dokądkolwiek. Jej ruchy są wyważone i opanowane. Jakby każdy z nich został dokładnie przemyślany, by wyeliminować zbędne i gwałtowne. Nie wydaje się smutna, ale też nigdy się nie uśmiecha. Jej twarz zawsze jest łagodna. I spokojna. Twarz osoby bezgranicznie cierpliwej.

Z matematyką radzi sobie słabo. Dziesięciominutowe kartkówki, które robię niemal na każdej lekcji, w jej wypadku nieodmiennie oceniam na trójkę. Uparcie robi tylko jedno zadanie i zawsze jest to zadanie numer jeden. A przecież wcale nie jest ono każdorazowo najłatwiejsze. Zaświtało mi podejrzenie, że reszty nawet nie czyta.

Na lekcji propedeutyki wywołałem ją do odpowiedzi. Pomyślałem, że nie będzie jej łatwo wyjść na środek i odpowiadać na forum klasy. No ale jakoś musiałem przecież zdobyć ten stopień do dziennika.

Kiedy się odezwała, osłupiałem – ma niski głos, miękki i wibrujący. Wcześniej zupełnie tego nie zauważyłem. Zresztą dotychczas słyszałem jedynie: „Jestem”, zawsze ciche. A na matematyce, przy tablicy, nie wymagam komentarzy tylko rozwiązania.

Stała przed uczniami, półtora metra od mojego biurka.

Płynie, bez pośpiechu i zająknięć referowała temat poprzedniej lekcji. Jej twarz była taka jak zawsze, nawet się nie zarumieniła. Ani znużona, ani spięta, ani zadowolona.

Postawiłem piątkę. Usiadła w ławce i zapatrzyła się w okno.

Mylłem się. Ona wcale nie jest nieśmiała. Jej sylwetka, postawa, twarz, sposób zachowania i mówienia, wszystko to wyraża obojętność.

Zawsze, gdy ją widzę, przypomina mi się ten wiersz. Jestem niemal całkowicie pewien, że ona go napisała. Pasuje do niej. Thoreau też.

W weekendy gram w tenisa, codziennie rano i wieczorem biegam po parku, w soboty piję z Markiem kilka kolejek w Zielonym Kogucie. Czasem coś gotuję, idę do kina, prasuję swoje koszule, sprzątam mieszkanie. Robię zakupy, słucham płyt, sprawdzam kolejne klasówki, czytam książki. Rutyna aż miło.

To właśnie przy książce, „Niewidzialnym człowieku” Ralpha El-lisona, wczoraj wieczorem pomyślałem: Ciekawe, czy ona to czytała. Zszokowałem tym samego siebie. Dlaczego zadałem sobie to pytanie? Zacząłem się śmiać. Ale wiem, skąd się wzięło. Z rozmyślań na temat Alicji i wiersza uczyniłem coś na kształt małego hobby. Zajmowałem się nim w wolnych chwilach. Zawsze lubiłem trudne zagadki. Zastanawiam się, do kogo kierowała swój tekst. Nie jest patetycznym wyznaniem rozhisteryzowanej zakochanej nastolatki. Przyszło mi do głowy, że skoro znalazłem go w zeszycie do matematyki, to może do mnie. W przeszłości zdarzały mi się zadurzone studentki, a co odważniejsze próbowały mnie o tym fakcie informować.

Wczoraj widziałem ją w bufecie. Na długiej przerwie poszedłem kupić kanapkę i kawę. Zapłaciłem i z tacą w rękach odwróciłem się poszukać wolnego miejsca. Wokół wszystko było zajęte. Wszedłem do drugiej sali i usiadłem w rogu, przy pustym stoliku nauczycieli. Odpakowałem kanapkę i ugryzłem ją. Naraz na zewnątrz budynku wybuchła straszna wrzawa. Automatycznie podniosłem wzrok i spojrzałem w szerokie okno – chłopcy na boisku wrzeszczeli, grając w kosza. Ale to ledwie zarejestrowałem. Na parapecie siedziała Alicja. Dwa metry przede mną.

Plecy opierała o okienny wykusz; nogi miała wyciągnięte przed siebie, skrzyżowane w kostkach. Na stopach czarne trampki, podeszwy czyste. Była w niebieskich džinsach i szkolnym mundurku. Czytała książkę. Głowę miała lekko pochyloną. W świetle

słonecznym zobaczyłem, że jej włosy nie są w jednorodnym kolorze. Były pasma odrobinę jaśniejsze i ciemniejsze, ale niezaprzecalnie naturalne. Rzęsy długie, ciemne, wywinięte na końcówkach. Cera jasna i świeża, jak to możliwe tylko u dzieci. Na nosie zauważyłem kropki piegów. Usta lekko wypukłe. I ten wyraz głębokiego spokoju.

Była to twarz harmonijna, ale jeszcze ani piękna, ani brzydka – typowe w jej wieku niezdecydowanie natury. Kaczątka, z którego może kiedyś wyrośnie łabędź.

Siedziała nieruchomo, całkowicie zatopiona w swojej lekturze. Nigdy nie wiedziałem, co czyta – jej książki zawsze były obłożone w nieprzezroczysty papier, jakby nie chciała ujawniać tytułów.

Jadłem i patrzyłem na Alicję.

Odrzuciła kolejną stronę. Szybko czytała. Nawet jeśli czcionka była duża. Kolejna strona. I wtedy, niespodziewanie, nie odrywając wzroku od liter, uśmiechnęła się. Lekko, prawie niezauważalnie. Znieruchomiałem. Nie była rozbawiona, raczej jakby mówiła: A jednak. Jej uśmiech trwał zaledwie kilka sekund. I zniknął.

Wewnątrz pomieszczenia kręciło się sporo uczniów. Wchodzili, siadali, wychodzili, rozmawiali, śmiali się, jedli drożdżówki. Uświadomiłem sobie, że ani razu nie widziałem, by w czasie przerwy jadła cokolwiek. Nie robiła niczego poza czytaniem.

Zaskoczyła mnie, nagle podnosząc wzrok. Natychmiast spojrzałem gdzieś indziej. I poczułem się nieswojo. Dlaczego tak się spłoszyłem? Przecież mogłem po prostu się uśmiechnąć. Jest dzieciakiem z mojej klasy, moją uczennicą! Nie jestem Humbert Humbert! Podczas lekcji nigdy na nią nie patrzę. Zbyt rzucałoby się w oczy. Moja uwaga mogłaby ściągnąć na nią zainteresowanie uczniów. A jestem pewien, że tego nie chce.

Idąc do pokoju nauczycielskiego, pomyślałem, że bardzo chciałbym znać tytuł jej książki.

Na klatce schodowej zaczepił mnie dziś jeden sąsiad. To nowość. Reszta się odkłania, ale wciąż zachowuje dystans. Za plecami pewnie gadają o mnie. Normalka.

Ten rozmowny ma na imię Piotr, mieszka na samej górze. To gej, jak w mordę strzelił. Oczywiście nie powiedział tego. Mnie tam kalafor. Żyj i daj życie innym.

„Pan musi być tym profesorem”, wypalił, gdy skinąłem mu głową, mijając na schodach. No proszę, o nic nie pytają, a jednak wszystko wiedzą. Potwierdziłem.

Zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głowy.

„Masz za dobre ciuchy na belfra” – powiedział.

Na ułamek sekundy zdębiałem, potem wybuchłem śmiechem. On też. Tak się poznaliśmy.

Pracuje w teatrze, chyba przy kostiumach. Widząc, jak się ubiera, nie wpadłbym na to. Biedak zupełnie nie ma gustu. Podobno próbuje pisać własne sztuki. Jego otwartość graniczy z bezczelnością. Niezły oryginał. Nie sądzę, by był ulubieńcem kamienicy. Nie pasuje do obrazka.

Dziś trzeci dzień nie było jej w szkole. Jest zimno i wciąż leje, pewnie się przeziębiła. Podczas sprawdzania obecności zapytałem, czy ktoś wie, co się dzieje z Alicją, a wtedy wszystkie głowy obróciły się w stronę ławki pod oknem. Wcześniej zupełnie nie zauważyli, że jej nie ma. Nikt się nie wyrwał z informacją.

W dzienniku jest jej domowy numer telefonu. Mógłbym zadzwonić i podpytać rodziców. W końcu mam takie prawo.

Nie ma jej piąty dzień. Jeśli nie zjawi się w poniedziałek, zadzwonię. Przejrzałem dziennik. Prócz matematyki, fizyki i chemii ma dobre stopnie. Z historii czwórki. Reszta: geografia, biologia, rosyjski, niemiecki i przedmioty zawodowe – czwórki i piątki. A polski to rewelacja – ma trzy razy więcej ocen niż pozostali, i wszystko to piątki. No tak, książki. *Z wychowania fizycznego zwolniona na podstawie orzeczenia lekarskiego* – napisał wuefista. Ona ma jakieś kłopoty ze zdrowiem?

Podczas weekendu kilkakrotnie zadałem sobie pytanie, dlaczego wciąż myślę o tej dziewczynie. Interesuje mnie niczym jakieś rzadkie zjawisko przyrodnicze. Nieznany dotychczas gatunek. Nie

potrafię jej rozgryźć, a to sprawia, że jeszcze bardziej chcę to zrobić. Inne dzieciaki są po prostu zwyczajnymi dzieciakami. Każde różne, ale jednakowo proste do odczytania. Nad nią się głowię. Nie pasuje do schematu.

Nalałem sobie wina, włączyłem Bacha, rozwalilem się na kanapie i podsumowałem to, co wiem: jest cicha i spokojna. Pełna rezerwy, niezmiernie opanowana. Całkowicie zdystansowana wobec wszystkich i wszystkiego, co znajduje się i dzieje wokół niej. Obojętna, odległa. Jednocześnie nie ma w niej żadnej wyniosłości czy cienia pogardy. Nieśmiała też nie jest. Ani zahukana. Tak, samotniczka. Czy to świadomy wybór? Jeśli tak, to dlaczego? Kwestia charakteru?

Postanowiłem zająć się czymś prostszym: coś zrobić z mieszkaniem.

Graty ciotki wywaliłem od razu. Tak jak serweteczki, plastikowe bukiety płomiennych róż, obrazy cierpiących świętych, zatęchłe pościelenie i szklanki musztardówki.

Wymieniłem wannę, stara przeciekała. Wreszcie mogę się moczyć godzinami. Aż do zmarszczenia jajek. Chociaż to podobno jest też objawem starości – jak kurczenie. Jeśli wkrótce, dodatkowo, zaczną się kurczyć, nie będę zdziwiony. Organ nieużywany zanika. Może powinienem coś przedsięwziąć w tym zakresie. Jednak z biegiem lat zauważyłem, że moje wymagania rosną. Ładnych kobiet jest mnóstwo, lecz nie tego szukam. Już nie. Chciałbym zostać zaskoczony, porażony zachwytem, olśniony, ale w moim wieku przestaje się mieć złudzenia, że coś takiego może się zdarzyć.

Ocknąłem się nagle w środku nocy. Wyświetlacz zegara pokazywał kwadrans po drugiej. Nadal widziałem obrazy z przerwane go snu. W tym śnie wyszedłem z pokoju nauczycielskiego, na zewnątrz kotłował się tłum uczniów, było bardzo głośno. Spojrzałem w stronę holu i od razu ją zobaczyłem. Alicję. Stała na samym końcu korytarza, nieruchomo, z rękoma opuszczonymi wzdłuż ciała. Ten korytarz wydawał się nierealnie długi, ale widziałem ją

bardzo wyraźnie. Patrzyła wprost we mnie, uśmiechała się. I mimo odległości i hałasu usłyszałem jej szept: „Czekałam na ciebie...”. Jednocześnie czułem, że coś mnie do niej pcha i że ja sam pragnę do niej iść. Próbowałem zrozumieć, dlaczego tego chcę, wtedy się obudziłem.

Leżałem w ciemnościach. Za cholerę nie mogłem ponownie zasnąć.

Jezu! Skąd się to wzięło?! Odbija mi? Ciekawe, co by na to powiedział doktor Freud.

\*

Ten moment, decydująca chwila, o której kilka tygodni wcześniej, w holu i na pierwszej matematyce, jeszcze nic nie wiedziałam, nadeszła pod koniec października.

Jedna godzina w całym życiu... Jedna w całym ciągu innych, pośród lat i tego dnia: zajęcia z propedeutyki, klasówka, temat „Oblicza współczesnego świata”.

Nikt mi nie powiedział, bo któż miałby powiedzieć; przez poprzedni tydzień byłam chora; teraz siedziałam sparaliżowana nad kartką pustą, przeraźliwie białą, za oknem kołysał się konar kasztana, liście żółte i umierające, i pomyślałam: Jaka jestem mała, w tej ławce, w sali budynku przy cichej ulicy, w mieście, jakich na świecie miliony, drobne kropki na płaszczyźnie Ziemi zawieszona wśród planet i gwiazd, we wszechświecie bez kresu, gdzie nasze codzienne sprawy, oceny z klasówek nie mają znaczenia... Ta myśl mnie rozluźniła; rozejrzałam się po cichej klasie – głowy pochylone, skrzywienie długopisów – i wtedy napotkałam jego wzrok, spokojny, oczy szare, jasne i czyste, pytające, szeroko otwarte, czekające jak drzwi. I weszłam w nie, w to spojrzenie, jakbym zanurzała się w chłodną wodę, powoli, coraz głębiej, do samego dna, a on mi na to pozwolił. Wewnętrzna nieśpieszna fala rozlewała się we mnie, ciepło, uczucie rosnącego uniesienia, które aż zwężyło płuca.

Kiedy dzwonek już ucichł, położyłam przed nim, jako ostatnia, dwie kartki ciasno wypełnione słowami. Uśmiechnął się – lekko,

nieznacznie, jeszcze nieświadomy ich zawartości; „oblicza współczesnego świata” według Alicji, bez jednej wzmianki o ustrojach politycznych i ich rozłożeniu na mapach; uśmiechnął się, jeszcze nieświadomy znaczenia kończącej się właśnie godziny.

Nie było go potem niemal przez cały tydzień; ja każdą długą minutę tego czasu mogłam karmić jedynie czekaniem.

Wrócił dopiero w piątek po południu, na lekcję propedeutyki.

Wszedł do klasy poważny, bez słowa, bez uśmiechu; idąc do biurka, siadając, nie spojrzął na nikogo, w dłoni ścisnął plik klasówek i czułam, jak moje serce zamiera; czy to był błąd? – pomyślałam...

*... kołaczce serce mały ptak spłoszony oblicza świata nieodgadnione słowa wypowiedziane odważnie czy głupio które rzeczy są ważne które nie świat mój myśli moje... zrobiłam to tak napisałam czyś nie zrozumiał to niemożliwe czyżbym się pomyliła to także niemożliwe spójrz na mnie spójrz chcę to wiedzieć...*

...i bałam się rozpostartych na białym tle papieru słów, że je przeczyta głośno, przeczyta wszystkim moje opowiadanie, i gardło się ścisnęło, schowałam pod ławką drżące dłonie.

Wymieniał nazwiska, notował oceny w dzienniku, bez pośpiechu, Skrupulatny Profesor, a zimna kropla spływała wzdłuż kręgosłupa między moimi łopatkami.

W jego palcach została ostatnia klasówka, a on milczał, po klasie niósł się szmer, piątek, ostatnia lekcja, uczniowie rozmawiali o otrzymanych ocenach i weekendzie, i byłam wdzięczna za zamieszanie, za ten hałas, a on powiedział:

– Piątka, Alicjo...

– Alicjo – powiedział i podniósł wzrok, oczy głębokie, a ja wstałam. – Za tę pracę wystawiłem, Alicjo, piątkę już na koniec roku – powiedział. – W podręczniku propedeutyki dla pierwszej klasy liceum nie ma już nic, czego byś nie wiedziała – powiedział, a ja stałam, unosząc ciężar jego spojrzenia. W klasie wrzało. Schował klasówkę między kartkami dziennika, usiadłam w ławce; na dzisiaj koniec, możecie iść.

Nie poruszyłam się i on też tego nie zrobił; zostaliśmy sami, skrzepowani i milczący, w przestrzeni nagle wypełnionej ciszą, pełnej oczekiwania.

– Czy mogę je zatrzymać, Alicjo? – zapytał po dłuższej chwili.

Skinęłam głowę; kartki klasówki, starannie złożone na cztery, schował do kieszeni marynarki, na twarzy miał uśmiech i młodość.

– Nie zapytasz nawet dlaczego? – zwrócił się do mnie niemal szeptem, ostrożnie spoglądając spod rzęs.

Milczałam, widząc jego ukrytą w cieniu twarzy obawę, czy się nie pomylił, pytanie, czy nie popełnia błędu, niepewność, jak odczytam jego intencje; milczałam, słuchając własnej intuicji, patrząc na tę twarz nagą i niespokojną, i „wiem, dlaczego”, chciałam odpowiedzieć, ale nagle zabrakło mi odwagi, bo skąd w człowieku bierze się pewność?

– Alicjo, wiem, że to nielogiczne... – zaczął, wstając zza biurka.

– Przeceniamy logikę – ucięłam, a w jego oczach błysnęło zdumienie i roześmiał się głośno, odrzucając głowę lekko do tyłu; zobaczyłam zęby białe, równe, odrobinę za drobne. Dłonie wepchnął w kieszenie dżinsów i już nie był dojrzałym mężczyzną, a ja piętnastoletnią dziewczyną, byliśmy ludźmi bez wieku, swobodni przez krótką chwilę, bo zaraz spał się, skupił, jak pływak szykujący się do skoku pierwszy raz z najwyższej trampoliny.

– Chciałbym poprosić cię o rozmowę – powiedział z pozornym opanowaniem, które wiele kosztuje, a ja zobaczyłam ten trud, to zmaganie, jego źródło w zielonych ścianach z planszami niemieckich słówek, w nauczycielskim biurku, stojącym niczym strażnik, w równych rzędach ławek, ujrzałam granat mojego mundurka i wszystkie między nami bariery, które kreowała ta instytucja, szkoła. Tutaj byliśmy wtłoczeni w swe role: nauczyciel i uczennica. To widział on i ja też to zobaczyłam.

– Ale nie tutaj, nie w szkole, to... nie ma z nią nic wspólnego – odparłam, a on chyba poczuł ulgę.

Miałam wrażenie, jakby obraz wszechrzeczy zachwiał się, znane formy rozplynęły, by natychmiast przekształcić się w nowe, zaskakujące



i piękne. Otaczała mnie inna, nowa rzeczywistość, której przestrzenie były nieskończenie rozległe, a obrazy, kolory, smaki i dźwięki zadziwiająco wyraźne. Jakbym pierwszy raz otworzyła oczy, wreszcie nabrała powietrza, wyszła z ciemnego, ciasnego kokonu i w końcu się narodziła. Czułam pęd własnej krwi, zimny wiatr na skórze, krople deszczu i radość wyzwolenia się. Byłam lekka i nareszcie naprawdę żywa. Dla mnie świat powstał dzisiaj – na moich i jego oczach.

Od pierwszej chwili miałam rację – znalazłam go.

Projekt okładki:  
Anna M. Koźbiel

Zdjęcie wykorzystane na okładce: Mikołaj Myczkowski  
Zdjęcie autorki: Ewa Szczepanik

Redakcja i korekta:  
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:  
MJK

ISBN 978-83-62247-35-6

Wydawnictwo JanKa  
ul. Majowa 11/17  
05-800 Pruszków  
694 536 051  
[wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl](mailto:wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl)  
[www.jankawydawnictwo.pl](http://www.jankawydawnictwo.pl)